Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 26. Poznań, dnia 23. Września. 1839.

Literatura zagraniczna.

Odrywek z pism Alexandra Bestużewa.

(Dokończenie.)

Prawda, łudząca jest atmosfera wielkiego świata, szczebiotanie salonów przyjemne i rozmaite, jak muzyka Rossyniego. Lecz te złociste ściany składają się z mozaiki samych zdań głupich; lecz ten śliski parkiet umoszczony dziwacznemi warunki, te sufity wyklejone obrazkami mód, i biada temu, kto się odważy nakarmić sobą łakomą ciekawość wyłącznych obywateli tego świata. Śmieszną będzie jego rola dla drugich, godne litości położenie dla siebie samego. Cóż on przyniesie w objacie temu egipskiemu bożyszczu-krokodylowi, prócz wczesnych marszczków na twarzy i zdawniałego kroju sukni? Nie pojmie on języka, którym przemawia moda, nie zna on tych ważnych drobnostek, które stanowią życie stolicy, na których wyuczenie się potrzeba całego życia, aby umrzeć żakiem zgrzybiałym. I oto nasz poeta w salonie; oto go spotykają przychylne spojrzenia i przymilenia łaskawe. Wszystko to przynęta na wędki, aby zaczepiać autorską gadatliwość. Oto go częstują przeżuwanemi grzecznościami, przywodzą do rozprawy z lada żartownisiem, mistyfikują w oczy, a ledwie on za drzwiami, dalejże strzelać za biedakiem zatrutemi pociskami obmowy.

„Jakież przedpotopowe znalezienie się!" — „Dawniejsze, niż wylew Newy." — „Mówią, że poezya jest językiem bogów, a pani, hrabino! pochodzisz z ich plemienia; proszę więc wytłumaczyć nam prostym śmiertelnym, o czem on mówił?" — „Książę! jam nie chemikiem, nie umię rozbierać mgły." — „Nie dziw, hrabino, że on tak tajemniczy. *C'est une sommité literaire;* a wierzchółki gór zawsze są mgłami okryte." — „Lecz to nieprzeszkadza widzieć, że wszystkie prawie ich szczyty kończą się płaskością." — „Jeśli nie widzieć, przynajmniéj się o tem dowiedzieć. Twierdzą to wszyscy wędrownicy." — „Przez imię Wiktora Hugo! proszę mi powiedzieć, do jakiéj szkoły należy ten paniczyk? górnéj, czy jeziornéj?" — „Do błotnistéj; on się rodził na bagnach nowogrodzkich." — „To widoczna; bo też bardzo podobien do wodnéj lilii zeschłéj między kartami łacińskiego słownika." — „Mylisz się baronie! Nasz poeta bynajmniéj nie jest wodnisty. Powiedz raczéj on nadto zapalony, a nie miniesz się z prawdą." — „Sucha trawa w lot się zapala, za to też i w lot gaśnie." — „O nie baronie! Poeta żyje i trawi się ogniem. Gdybyś pan słyszał, ile on mi prawił o iskrach oczu, o łunie namiętności, o pożarach duszy i t. d." — „Tobym go przedstawił na Brandmajora, nie prawdaż księżno?" — „Taki niezgorzały człowiek bez przeciwpalnego przyboru wyśmienita rzecz dla straży ogniowéj." — Wolno żartować; zawsze jednak ogień jest jego żywiołem i miléj dla niego oddychać płomieniem, niż dla nas wonią kwiatów." — „W takim razie pozwolisz księżno, policzyć go do rodzaju dwunożnych salamander." — „Uprzedzony jesteś, baronie, on już dawno zamieszczon w listę osobliwości i tylko na czas niejaki uwolniono go z gabinetu sztuk pięknych." . . . .

I to tylko kwiaty modnéj złośliwości. Jeszcze tu niemasz trujących jagód, które dojrzewają dla ciebie przy promieniach świec woskowych, lub księżycowym blasku lampy. Zaczekaj chwilę, a świat modny wydrze i twój cichy zakątek odwiedzinami; chwile twojego natchnienia na dań do imionników; podtoczy nieufnością wiarę we wszystko piękne, miłość twą zatruje domysłami, wzajemność odwieje szyderstwem. A jeśli nie uda się mu, zrobić cię śmiesznym, ogłosi cię niebezpiecznym ... i doprowadzi do tego, że ty pragnący przedtem być znany, poczniesz świat prosić o zupełne zapomnienie, jak o największą łaskę. I świat zapomni twoją osobę, zapomni twoje dzieła, zapomni wszystko prócz imienia. I to imię rzuci w pośmiewisko. Wszakże czytano kiedyś tego Bestużewa, powie on, albo Chwałabogu! przecież on pogrzebiony na jednéj pułce z Walter Skotem! — I te głupie sądy upokorząż ciebie, ciebie upojonego słodką rosą niebios. I szpilki rozerwąż

twe serce, nierozbite młotem losu? Wstydź się! nie ciebie oddałem światu, ale świat tobie! Ludzie pospolici stworzeni dla zabawy umnych. Grajże nimi w szachy! wyciskaj, że społeczeństwa barwy dla własnéj uprawy; zbieraj dań z jego dziwactw, z jego niedorzeczności, z jego narowów i zbrodni. Lecz jeśli chcesz sprostać dostojnym i osłodzić się miałkiemi przyjemnościami lepszego społeczeństwa, nie w osobie widza, lecz w osobie towarzysza, jedyny sposób poznać tajnie gabinetów, usłyszeć mowy ich mieszkańców bez okras, zastać twarze bez różu, a serca bez mankietów: zostań bogatym!

Cóż sława? marny szych oto
Błyszczący z piewcy łachmanów;
Nie pieśń potrzebna dla panów,
Tylko złoto, złoto, złoto!.... *)

Przeklęty kruszec to złoto! niegaszący pragnienia, napój piekielny. Darmo opatrzność skryła go w ziemię głęboko, my naszli sposób wydzierania go ztamtąd ręką przestępców dla nowych przestępstw. Karą z ćmy wydobyte stało się karą świata. Każdy raz, ilekroć dukat dotyka méj ręki, zdaje mi się, że jéj udziela swego galwanizmu. Prawda, rdzy na nim niema i być niemoże; lecz zdaje się, że jest wilgotny ciężkim potem, że kapie krwią, i iskrzy wzrokiem czartowskim. Nie złoteż było jabłko pierwszego grzechu? Nie onoż rozprysnąwszy się w złote krążki, roztoczyło się po świecie? Niech los rzuca je na poswarek gminowi, jak orzechy malcom, ja się po żaden nie schylę. Powiedźcie, na co mi to złoto? Nie jestem bogaty, lecz lubiąc rozkosz, umiem morzyć swe żądze dla tego, że łżéj znieść odmówienie od własnéj woli, niźli od cudzéj niechęci. Wierzę, że wielu ma wiele, a nikt dosyć; lecz razem mocno wierzę, że bogactwo zawiera się bardziéj w chęciach, niż w posiadaniu. Powiadacie, że złotem można umościć drogę, dokąd się podoba, że można niem ludzi kupować. Zbyt wiele zaszczytu robicie ludziom, moi przyjaciele! wartoż kupować proch prosty za proch złocisty? Wartoż płacić złotem za to, za cobym niedał żelaznego grosza? Za uśmiech wynudzony ziewotą? Za uściśnienie ręki przywykłéj do wziątków? Za całus Judasza z rękawami *à la folle*. Ludzie gotowi przedawać, przedawać przyjaciół i samych siebie; szkoda, żem nie kupiec na ciała i sumienia, i wyznam po najściślejszym rachunku, według mię, ten, kto się oddaje w najem za pieniądze, niewart pieniędzy. O, ja znam ludzi, znam najdokładniéj. Pluj im w oczy, lecz złotem, a oni kłaniać ci się będą. Zresztą mojem zdaniem mniéj jest godny pogardy ten, kto się dla korzyści upadla, niż ten, komu pochlebstwo i uniżoność potrzebne, jak chleb powszedni.

A jednak złoto jest słońcem wielkiego świata, tylko w jego promieniach dostrzegają się przymioty, tylko w jego pryzmie znikają wady. Niech błyśnie, a na jego powitanie zaszczebiocą wszyscy, jak ptaszki, i lica krasawic przymileniami rozkwitną. Wicher złotego pyłu mimowolnie zawraca serca i głowy. Złoty worek jest ideałem piękności, źródłem rozumu, Proteusem słodyczy. U bogacza wszelka nikczemność usprawiedliwiona, jego błędy wzorami, jego dzieła godne uwielbienia, jego słowa pamięci. Pojąć nie mogę i nic głupszego w świecie niewidzę, jak uszanowanie ludzi dla bogctwa. Szanujcie rozum, podobajcie sobie w dowcipie, jeden was uczy, drugi rozwesela. Poważajcie siłę, to naturalnie, ona może was zbawić lub zgubić. Lecz przez samego Mamona powiedźcie mi, co wam da bogacz za wasze uniżone pokłony, grzeczne przymilenia się i potwierdzające uśmiechy; za wszystkie wasze potakiwania i natrętne pochlebstwa? Co? Stół jego bez nakrycia dla tych, którzy się chcą najeść, a nieskosztować łakoci. Kręte jego schody dla suchotniczéj piersi szukającéj opieki. Mocne zamki skrzyń jego, worek zawiązan węzłem gordyjskim dla pożyczki. Serca jego i łzami nie zmiękczysz; ono jest bryłą ziemi, z któréj nie skrzeszesz ognia, nie wyciśniesz wody, i nie wypielęgnujesz makowego ziarnka. I niech zostanę podobnym temu bałwanowi bogaczem, niech przywalam całym ciężarem złota dawnych mych towarzyszy, dla mnie ukłony dumnych, dla mnie uprzejmość piękności, dla mnie płonie więcéj świec na wieczorach, i więcéj iskr w oczach dorodnych panienek; dla mnie nakoniec szafują wszystkie grzeczności przygotowane na ważniejsze wydarzenia. Lecz powiedźcie, kupięż ja za brzęk pieniędzy razem z temi wszystkiemi grzecznościami i wiarę w ich prawdziwość? Byłem, żyłem w tym świecie, on mię widział, i niepostrzegał; piękności mię słuchały i nieoceniły. A jam był wtedy świeższy umysłem i twarzą; byłem lepszy, czulszy, gorętszy. Gotów byłem wielbić, ubóstwiać je; oddać za ich miłość nie podłe złoto, lecz krew serca, pokój duszy, niebo same!

I to wszystko minęło! Nie wskrzesisz młodości deszczem Danai. Precz wężu kusicielu, precz! Mogłeś mię uwieść w moim raju, w mojéj młodości; teraz już za późno. Nie wierzę w światową przyjaźń, mniéj jeszcze w światową miłość; w przyjaźń, która postępuje z grzywny na grzywnę; w miłość przylatującą nie inaczéj, jak na papierowych skrzydłach bankowych biletów. Nie wierzę i w sławę, która się w proch rozsypuje, lub w parę ulatnia. Teraz dokopałem się błota, którem się żywią korzenie lauru i myrtu tak pysznie bujające w powietrzu. Teraz ujrzałem straszne lice

*) Puszkin.

prawdy bez pokrywki. Żądzo bogactw, wężu-kusicielu kąsaj mię w stopę, ona na głowie twojéj, serca mego niedosięźesz.

Lecz czy już w tym świecie nie ma umysłu, którego pochwała schlebiałaby poecie? Nie ma serca, którego westchnienie ulgęby ci przyniosło? I poeto maszże zakopać w ziemię dar niebios swoje zdolności? I człowieku maszże wyrzucić duszę w pustynię bez podziału? Czyż cię nie ożywia myśl, że ognisty młodzian, czytając twoje czarające stronnice, zapomi godzinę nauk, człowiek światowy proszoną ucztę, piękność zabawę? Że twe natchnione twory rozniecą jasne myśli w głowie samemu sobie nieświadomego poety, oczyszczą swym ogniem duszę chciwego i hardego, obudzą słodkie święte uczucia w piersiach niewinnéj dziewicy. . . . Może się ona nad twemi marzeniami zaduma, i jéj prześliczne ciemne oczy łzami się napełnią, ona cię wspomni westchnieniem, i delikatny żar przenikający całą jéj istotę, zapłonie w sercu myślą: „jak on namiętnie kocha! jak słodko być musi, być tak kochaną? . . . .“

. . . . . O! . . . .

*A.***

Literatura krajowa.

Poezya.

Do Brzozy,

nad brzegami Sułaku czyli Koï-su, pośród gór północnego Dagestanu znalezionéj.

Witaj rodaczko, witaj, ulubiona brzozo!
Gdy wygnaniec pracując widzi białe ściany
Domu Ojca, z którego uchodził przed grozą
Widok miejsca lubego, draźni serca rany.

Ja cię brzozo znajdując, nad Koï-su brzegami,
Witam lubego świadka, chwil szczęśliwych życiu,
Zapewne jak ja równie, niesiona wichrami
Padłaś pośród niechętnych twojego przybycia.

Kiedyś się zdziwionemu zabieliła oku,
Sądziłem że los mnie wdzięcznym widokiem obdarzy,
Szukałem w obłąkaniu pośród łez potoku
Obok ciebie brzezino, znajoméj nie twarzy.

Lecz wśród gór Dageśtanu, w głębokiéj dolinie
Dwoje nas tylko było, a mnie w oczach stały
Chwile, kiedy w szczęśliwéj dni moich godzinie
Dźwięki polskie w twym cieniu ucho me łechtały.

Tu głos obcy żołnierza mieszał się z wichrami,
Wszystko patrzało na mnie dziko i surowie,
Podobnie z wiszącemi nademną skałami,
Co się ciągle zdawały zagrażać méj głowie.

Lecz przenosząc się w przyszłość wyobraźni lotem,
Usilne prośby Stwórco zasyłam ku Tobie!
Gdy padnę pośród obcych porażony grotem,
Niechaj ojczysta brzoza wzrośnie na mym grobie.

Wołyń 1839. *A. P.*

Metempsichosis.

Powieść.

(Dokończenie.)

„Ale na czemże stanęłam? — a! . . . otóż była to wilia moich zaślubin. U moich rodziców było kilka osób. Ojciec z panem podstolim grał w maryasza. Pani podstolina z dwoma córkami, moja matka, ja, pan młody i jeszcze dwóch panów siedzieliśmy w okół obszernego komina Roznoszono wino i pączki. Pan Tobiasz przy moim boku nieposiadał się z radości, i ja też. Rozmowa toczyła się o dniu następnym, układano, kogo zaprosić lub nie; wreszcie, skierowała się do uwag nad młodzieżą, która zasmakowawszy w niezależności i rozpuście, przekłada stan bezżeństwa nad inne. Ktoś z obecnych wspomniał nawiasem o nieboszczyku panu Karolu, a moja matka, skłaniając się do próźb gości, w te słowa mówić zaczęła.“

„Z uczonych rodziców zwykle dzieci głupie, mowi przysłowie, tak też było i z panem Karolem. Ojciec jego, poczciwy szlachcic, zwiedził wiele krajów, był nawet w Gdańsku i w Brodach, mówił różnemi języki i po łacinie i po niemiecku i po francuzku, był jednym słowem bardzo uczony i słynął z tego w całym województwie. Ale co razem z nauką chodzi, był niedołężnym i nieopatrznym w życiu domowym. Zawsze w książkach, a przy książkach niedbał o gospodarstwo i dzieci. Sama Imość lubo kobieta bywalska po dworach, ale zawsze chora, nieopuszczała prawie nigdy łóżka. Ni więc Jéjmość, ni Jegomość niemieli sposobności zatrudnić się edukacyą dzieci, z których najstarszym był Karól. Zostawiono ich samym sobie. Niemówiąc o reszcie dzieci, które rozmaicie w świecie się znalazły, powiem tylko o panu Karolu. — W piętnastym roku oddano go do szkół, i pan Karól chodził, ale tylko chodził, bo nic się nieuczył. Była to jednak wielka radość w całym domu, kiedy w trzydziestym drugim roku swojego życia pan Karól w tryumfie przyniosł

rodzicom świadectwo z zupełnie ukończonych nauk. Nikt się niepytał, czy umie co lub nie, kiedy były dowody, że umie, najprzód, że przez lat siedemnaście się uczył, powtóre, że miał świadectwo z pieczęcią i wiarogodnym podpisem. Świat się niespyta nikogo o nauki lub poczciwość, jeźli zobaczy czarne na białem.

Widząc się skończonym, pan Karól zaczął myśleć o miłości, wtenczas właśnie, kiedy współtowarzysze jego nauk byli obywatelami, ojcami, i pracowali dla kraju i dzieci. Dla niego to wszystko leżało jeszcze w przyszłości, o tym wszystkim jeszcze niepomyślał nawet. Jemu trzeba się było kochać, bo czuł potrzebę kochania, bo taka kolej rzeczy, nauki, miłość, małżeństwo, śmierć. Ale zakochać się było dla pana Karola trudniéj, niźli się komu zdawać może, a nawet nie podobieństwem. Zostawiony ciągle sam sobie do lat trzydziestu dwóch, niebędąc nigdy w żadnym towarzystwie, nie mówię już kobiet, ale nawet mężczyzn, prócz kolegów w szkole, rosł, jak ta jabłoń na rozdrożu, która niczyją niepielęgnowana ręką, rodzi tylko cierpkie owoce. Pan Karól nieumiał się przyzwoicie ukłonić; przy obcych a zwłaszcza przy kobietach, niewiedział, jakim słowem usta otworzyć, jak ręce trzymać, lub gdzie stanąć, słowem, niemiał najmniejszego taktu. Był to widok bardzo zabawny, kiedy wszedłszy w towarzystwo ukłonił się niezgrabnie, i nogę wysunąwszy naprzód, a rękami trzymając się za klapy od surduta, z głową podniesioną do góry i okiem utkwionym w jednym miejscu, stał nieporuszony, jak posąg, otwierając usta dla tych dwóch tylko wyrazów: „tak i nie." — Widok tylego chłopa pod wąsem, skończonego można powiedzieć, a nieokrzesanego zarazem, robił takie wrażenie na obecnych, jakie każdy przedmiot robi pokazujący się w innym świetle, niżeli to być powinno. — Na pierwszym wstępie na świat obsypano go szyderskiemi żartami. Nawet kobiety zwykle bardziéj pobłażające od mężczyzn, pozwalały sobie dotkliwych żarcików, i nieśmiałego z natury i z wychowania zrażono, zniechęcono zupełnie. Na próżno twarz pana Karola poglądającego na kobietę płonęła, a w oczach grał ogień miłości, on nieśmiał się zbliżyć, nieśmiał ust utworzyć, każde bowiem ruszenie, każde ust jego otwarcie, sprowadzało uśmiech na usta obecnych, przeszywający boleśnie serce. Wkrótce jego nieokrzesanie weszło w przysłowie, a to już było za wielkim ciężarem na biedną jakkolwiek ograniczoną głowę pana Karola.

Tak przyjęty od świata, wyrzekał rodzicom, którzy go tak zaniedbali, znienawidził ludzi, a szczególniéj kobiety, stał się dzikim, odludnym, i w sercu taił do czasu zemstę na płeć, którą uwielbiał, milczeniem, a która go odepchnęła, szyderstwem. Wkrótce znaczny majątek odebrany w puściznie po stryju wyprowadził go na świat. Pokazał się w towarzystwach, lecz teraz nikt się nieśmiał z jego nieokrzesania; pan Karól bowiem miał złoto, które spadającą łzę wstrzymać potrafi i śmiech trzyma na wodzy. Złoto zamknęło usta wszystkim. Kobiety przyjęły go z uwielbieniem, matki, ciotki i wszelkiego rodzaju opiekunki młodych dziewcząt obsypały pochwałami, — zapraszano go na wieczory, objady, — a młode panienki miłosnym okiem rzucały nań z boku ukradkiem. Lecz pan Karól poznał się na sidłach, które na niego zastawiano. Widział, że ci, którzy przed rokiem szydzili, dzisiaj biją mu czołem, jego więc nienawiść ku ludziom, podwoiła się i teraz dopiero postanowił się pomścić za pomocą tegoż samego złota, przed ktorym zginano kolana. W ludziach z ograniczonym rozumem nienawiść i zemsta najprędzéj się rozkrzewiają.

Od téj chwili zaczęła się nowa epoka życia pana Karola. Dwadzieścia lat następnych były pasmem rozpusty i ciągłych uwodzeń. Bystrym okiem, jak jastrząb z pod chmury wypatrywał zdobycz. Wypolerował się, nabrał taktu i przebiegłości, każdą dziewczynę, na którą zwrócił oczy, podbił urokiem złota, przysiąg i miłości, i każdą późniéj porzucił. Mścił się — zemsta jego była nienasycona, lecz nareszcie środków zaspokojenia jéj zabrakło. Nakoniec w pięćdziesiątym drugim roku życia umarł, znienawidziwszy nawet siebie i przeklinając kobiety, którym zemstą jeszcze za grobem odgrażał, utrzymując, że jego dusza z kobiety w kobietę przechodzić będzie, dręczyć je nieprzestając. — Taka jest historya jego życia, — znam ją ztąd, bo mieszkał w tym samym domu, w którym wtedy mieszkaliśmy. —

Śmierć jego przypadła tegoż samego dnia, godziny i sekundy, w któréj odebrała życie moja Józia. Wielkie więc jest do prawdy podobieństwo, że dusza pana Karola zamieszkuje dziś w pannie młodéj."

Te słowa mojéj matki obudziły śmiech w towarzystwie, ale na mnie wcale inne uczyniły wrażenie. Zbladłam moi panowie usłyszawszy taką konkluzyą. W jednéj chwili brzydziłam się sobą na tę myśl, że dusza mężczyzny rozpustnika ożywia moje ciało. Moja wyobraźnia kazała mi wierzyć, że i mój narzeczony będzie takim, jakim był nieboszczyk Karól. Stanęła mi w oczach okropna przyszłość, lękałam się być wzgardzoną i opuszczoną, a będąc kiedyś mężczyzną już, jak na dłoni widziałam całą przewrotność tego rodu wę-

żów. Miłość dla Tobiasza zgasła, bo już nieczułam się być kobietą. Postanowiłam zostać panną i przez poświęcenie się czystości i modlitwie pokutować za grzechy w ciele mężczyzny popełnione. Daremne były namowy rodziców i błagania Tobiasza, daremne starania i zabiegi wszystkich, którzy później się nastręczali, postanowienia mojego nic zachwiać niepotrafiło, jak to panowie widzicie, i nic zachwiać niepotrafi! — Tak więc wiara w Metempsichosis uczyniła mię starą panną."

„Za pozwoleniem," zapytał jeden z słuchających, „jakkolwiek dziwną jest pani historya, wierzymy i dziękujemy zá grzeczność i fatygę, którą w opowiadaniu jéj nam podjęłaś; radzibyśmy tylko wiedzieć, a pani zapewne najlepiéj wie o tem, gdzie dusza pana Karola wynajmie pomieszkanie, gdy pani, czego uchowaj Boże, żyć przestanie?"

„Wtedy, ach! wtedy — przejdzie w jakie niewinne stworzenie, w ptaka, np. w słowika — wróbla lub koguta." —

„Acha!" wyrzekli słuchający.

E. W.

Wyjątek z pamiętników Wybickiego niedrukowanych dotąd.

Po traktacie Tylżyckim Napoleon zniecierpliwiony pokazać się ludowi, jako nowy zwycięzca, przebiegł przez Polskę do Drezna, niezatrzymując się prawie nigdzie, przekonany, iż po tylu obietnicach danych Polakom, po tylu ofiarach przez nich poniesionych, niemogą być bardzo kontenci, że ich kraj w księstwo Warszawskie zamienił. Chcąc nam atoli dać konstytucyą, wezwał kommissyą rządzącą, aby dla jéj odebrania do Drezna przybyła, a raczéj, co się może przez omyłkę stało, wskazał swemu ministrowi w Warszawie, aby Stanisław Potocki i Wybicki do Drezna co prędzéj przybywali. Poznałem ztąd nieukontentowanie kollegów i jak najusilniéj obstawałem z Potockim, aby kommissya w całym swym gronie w tak ważnéj rzeczy do Napoleona się udała. Tłómaczyłem tę omyłkę prezesowi Małachowskiemu, że Napoleon dla tego nas dwóch tylko wezwał, bo mu najbardziéj znani byliśmy. Gdy więc stanęło, żebyśmy się wszyscy w tę polityczną podroż udali, ruszałem wszelkie sprężyny, aby stanąć z gotowym projektem do konstytucyi; ale wyznam szczerze, że mało było zgodności i mało chęci do pracy. Szanowny mąż Małachowski, jako marszałek sejmu konstytucyjnego, tyle dla nas chlubnego, chciał Napoleona prosić o nadanie konstytucyi z 3go Maja. Przedstawiłem skromnie, iż konstytucya z 3go Maja niebyła już w nowym duchu czasu, że teraz trzeba przypuścić całkowitą reprezentacyą narodową, znieść zupełnie poddaństwo, co było w konstytucyi 3go Maja prawie zamilczanem, ponieważ naród niebył się jeszcze dość oswoił z tak liberalnemi ideami. — Zająłem się sam zbiorem ważniejszych myśli do tego dzieła, był zemną we wszystkiem jednego zdania Potocki; ale na nieszczęście tak zachorował, że niejako gwałtem ruszyłem go z łóżka i do Drezna wziąłem. Inni już byli powyjeżdżali. Późno z Potockim chorym przybyłem, pielęgnując go w drodze jak najtroskliwiéj. Napoleon zniecierpliwiony przyjść nam kazał natychmiast. — Wspomniałem wyżéj, żeśmy już w Warszawie zbierali z Potockim różne projekta, któreśmy w drodze ciągle układali i pomnażali; ale idąc do Napoleona, niebyło już zgody między nami i resztą kollegów. Kiedyż między nami była zgoda w rzeczy publicznéj! Gdyśmy stanęli w zamku, cesarz mnie tylko i Potockiego do siebie wezwał i zaraz na wstępie późne przybycie wyrzucał. Z tym Panem naówczas świata wiele trzeba mieć było taktu i cierpliwości. Krótko więc zaczęliśmy mu dziękować, iż nam chce dać konstytucyą i t. d. Na co on: „Wiem, że Polacy niesą kontenci, iż tylko jest księstwo Warszawskie, ale ja interessów Francyi dla was kompromitować nie mogę" i t. d. My tylko oświadczaliśmy wdzięczność imieniem narodu, on zaś wziąwszy kapelusz, łamał go w ręku, mówiąc: „To się tak jeszcze wszystko połamie." I tu odezwał się, czy mamy jaki projekt do naszéj konstytucyi. Potocki to, cośmy w krótkości ułożyli zaczął czytać, lecz cesarz niedał mu skończyć: „Dziś wam trzeba dać inną konstytucyą reprezentacyjną;" i gdy zawołał księcia Bassano, aby mu ją dyktować, przedstawić się odważyliśmy, że w przedpokoju był prezes kommissyi rządzącéj z drugiemi członkami. Na to kazał ich przywołać. Wszystkim nieprzyjemne poczyniwszy wyrzuty, niezgody, dążności do anarchii i t. d. kończył: „Zniosę u was naprzód poddaństwo i konstytucyą wam dam reprezentacyjną pod berłem króla Saskiego i jego dynastyi;" a tu nieczekając daléj, zaczął dyktować ową konstytucyą, którą r. 1807 d. 22. Lipca księstwu Warszawskiemu nadał, jak dzieje zaświadczą. Dyktował ją prędko chodząc po pokoju, a książe Bassano ledwo zdążył pisać przez abrewiacye i to prawie na kolanie. Cesarz zapytywał nas się kiedy niekiedy, czyśmy kontenci, mogąc być pewnym stósownéj do jego woli odpowiedzi. — Gdy Talleyrand późniéj przybył, odezwał się do niego: „Wiele wygód potrzebujesz, a ja już nadanie konstytucyi nowemu krajowi koń-

czę.“ I tu z wielką radością dodał: „Zniósłem odwieczne poddaństwo w Polsce i to z mych zwycięztw laur dla mnie najmilszy.“ — Dyktowanie to konstytucyi nietrwało godziny, i było bez porządku, zwyczajnie jak dzieło przechadzki. Uporządkowanie zaś zalecił księciu Bassano, który nic niemówiąc, kłaniał się tylko i my za jego przykładem. — Ileż ten widok wrażeń na mnie niesprawił! Wieków tyle byliśmy bez pewnych zasad rządowych; ostatni sejm dopiero, trwając lat cztery wydał nakoniec jaką taką konstytucyą, ale już zapóźno. Napoleon w godzinę ją nadał, i bardzo stósowną do owego czasu i narodu. Wróciliśmy się potem do sali audencyonalnéj, gdzie, gdy przybył król Saski, prezentowani mu byliśmy, jako księciu Warszawskiemu. Niebyło i tu bez przykrych wyrzutów ze strony Napoleona. Zagrażał nam nawet utratą konstytucyi, jeżeli do dawnych wrócimy nałogów. Tak to cierpieć za nasze, a raczéj za przodków naszych winy musieliśmy! . . . Jaka była powaga Napoleona, wspomnę, że gdy w czasie dyktowania konstytucyi, szambelan u drzwi zapukał i króla Westfalskiego meldował, Napoleon krzyknął: „Niech czeka!“ Król Saski był nieledwo tak pokorny i ulegający, jak my; a gdy nas późniéj z Potockim cesarz na pożegnanie zawołał, rzekł: „Wiem, że to król nie dla was, nie jest żołnierz; ale przecież go sami sobie wybraliście na waszym sejmie konstytucyjnym.“

Krytyka.

Orcio.

Pojedyncze działy *Niebieskiéj Komedyi* wydatnie porozgradzane; każdy z nich ma osobne, jasno odkolorowane piętno. Pieśń pierwsza, to burza w łonie Rodziny, akt trzeci i czwarty wyje wichrem burzy Spółecznéj. Gdzie się pora poprzedniéj zawieruchy tęczą aktu drugiego od następnéj burzy odkreśla, tam znajdziesz spokój po pierwszéj, — zarazem przybory do drugiéj.

Szczupły krąg zdarzeń skreślonych w tym akcie, bo też chwilę przejścia nie Czyn, ale zaród Czynu piętnuje; ich lice mieniące, bo się blask światła pomrokiem dwu chmur zapładnia, a ztąd Kolor się rodzi.

Pod wpływem tego przyćmionego, barwistego światła dojrzał Pomysł Orcia. Ale któż powie, w jaki sposób ten Pomysł wyrosł z Wieszczéj Duszy Autora? — Może wynikł z rozwagi, — z głębokiego, umnie wiązanego splotu przezroczystych Myśli; może też Poeta tylko śpiewał ὡς θεὸς ἔδωκεν — nucił Pieśń »która gwałtem z piersi mu się dobywała.« Zawadzam o te kwestje, by je domysłowi czytelnika zostawić, sam zaś o przeniknienie w głąb obecnéj Myśli Orcia pokusić się wolę.

Czarowna to chwila w Pożyciu Małżeńskiém, kiedy zobopólna Miłość męża i żony, tęskna tajemnicą dążeń, brzemienna nadzieją, w nowo-narodzoném dziecięciu wita Żywy, Rzetelny obraz swéj idealnéj dotąd Jedności, kiedy we wspólności trosk i starań o Żywą własność swoją najszczerszą pewność swéj Wzajemności znajduje. Z takiéjto chwili, już w odległym zarodzie jadem nieszczęsnego błędu *) zatrutéj, pod sam koniec dojrzewa burzą otchłannéj poezyi nielitościwie rozdartéj, wysnuty wątek Życia Orciowego.

Orcio dziecięciem Hrabiego i Maryi. By był obrazem Rodzicielkich uczuć, ożenia w swéj duszy wszystkie te sprzeczne sobie pożądy, które związek wśród Błogosławieństw Anielskich, a zabieżnéj czynności złych duchów zawarty: to chwiewnie wspierały, to, od samego zawiązku, na dnie duszy z cicha, acz silnie podrywały. Wszystko to, co nam pod tym względem Poeta ciągiem rozmaitych zdarzeń aktu pierwszego wystawił, — wszystko to razem wzięte i jakby w jedno zlane objawia się w Orciu; a to, nie szeregiem następstwa, jako w Pieśni było, ale Na Raz i bezpośrednio w całym bycie jego. Dla tego Orcio od razu w sobie skończony. Cały krój tego zjawiska jest jakoby bezpostępową kontynuacyą tylko, — żywym jeszcze, ale niezmieniającym się już obrazem upłynionego Życia. »Ledwo kilka wiosen przeszło nad jego głową, a już w błękitnych oczach jego, pochylonych, choć żywych, pełno wspomnień — «

W Orciu więc uprzedmiotniona Jedność Małżeńska Hrabiego i Maryi. Ale Jedność ta rzeczywiście nigdy nie istniała. Wiła się tylko wśród ciemnych, niezbadanych, a różnych od siebie dążeń, błędem tylko, jakby Ironją Losu ku sobie skierowanych. Uprzedmiotnia więc to, co miało istnieć, a nie istniało. Orcio, to żywy obraz owéj urojonéj tylko jedności, któraby wtenczas była nastąpiła, gdyby Żona zdołała była zrównać się z Hrabią w jego dzikiéj, nieokreślonéj, w ciemną bezkolorową nieskończoność wyciekłéj poezyi, a znów Hrabia, widząc w niéj bezludne urzeczywistnienie swych marzeń, kochał ją, jak ową dziewicę ze świata »bez końca i nocy.« — Ale węzeł pętany pod zasłoną niesfornéj poezyi, co po otrząśnieniu się z wszelkich względów na przedmioty Uświęcone Poszanowaniem Opinii Spółecznéj, we własnych tylko bezdnach się nurza i tą otchłanną rozkoszą się poi, przeciwi się Prawdzie Ducha i dla tego w świecie Spółecznym spełnić się nie może. Sam tylko pomysł takiéj jedności można poetycznie uprzedmiotnić; ale Poeta na to tylko w Żywy kształt go wcielał, aby słabością ciała i krótkością życia swego oczywisty brak Prawdy w sobie okazał.

Takiém zjawiskiem jest Orcio. W nim, jak we wspólném ognisku, zeszedł się promień poezyi Hrabiego, jak się w Żonie odbił i Miłość Żony, jak się w nieczułym Mężu gnieździła. Dla tego marzenia jego nie płyną z ochoczości silnéj a burzliwéj natury, jak w Hrabim, ale »bolą go w głowie,« jak się Matce zdawało, że jéj ktoś lampę w głowie zawiesił, która się kołysze i nieznośnie ją razi; a odwrotnie Miłość jego nie jest pełną i namiętną, jak była pełną i namiętną Miłość Żony, ale czczą tylko i bezsilną — taką właśnie, jaka z marzeń Hrabiego wypełznąć mogła.

Tak więc Orcio, uprzedmiotniając osobą swoją stósunek mający być Jednością, mający nadać sobie byt rzeczywisty, uobecnia Jedność, która na świecie pomyślana, nigdy jednak raźno na świat wyjść nie mogła, która w ciemności niewyrozumianych dążeń, z boleści zdradzonego serca i zamglonéj złudzeniem imaginacyi poczęta, darła się tylko do Jasności dnia białego, ale jakby na noc wieczną skazana, nigdy w Swietle Rzeczywistości wystąpić nie mogła. To zamiarem tylko i ciemném dążeniem spłodzone przeznaczenie bytu, bez Prawdziwego Wypełnienia, nie może się wydać Poetycznie w zdrowiu ciała i bystrości zmysłów, ale właśnie, jak w Orciu »w ciele do pajęczyny po-

*) Hrabia »zstąpił do ślubów ziemskich« w mniemaniu, że »znalazł tę, o któréj marzył.« Obacz Akt I. *Przyp. Aut.*

dobnem, które lada Myśl wielka rozerwie,« — w bycie »niedopełnionym, bez namiętności« — w walce z ciemnościami — w ślepocie. Orcio »ślepy i bezsilny, dziecie i Poeta zarazem, biedny śpiewak bez słuchaczy, żyjący duszą za obrębami ziemi, a ciałem przykuty do ziemi,« stworzony dla »światła i Pieśni,« a na ciemność i głuchą ciszę nocy skazany, jest równie wyraźném przeciwieństwem w sobie samym, jak owa jedność małżeństwa Henryka i Maryi.

Starałem się dotychczas oznaczyć naturę Orcia, jak się bezpośrednio w jego ruchach i słowach ukazuje. Ale wyłuszczyć sam naturalny byt jego, wyświecić słabość pasma, z którego wyprzędzon rąbek jego mdłego życia, nie jest to jeszcze to samo, co wyczerpnąć całe znaczenie, jakie w obliczu ogólnéj Myśli Poematu mieć może. Pod względem na Całość Poetycką, Orcio nie jest samym tylko, na czas jakiś ożywionym zbiorem cieniów myśli i uczuć aktu pierwszego, chodzącą kompilacyą tego, co się dotąd w części Poematu rozwinęło; ale prócz tego zdradza jeszcze jasno napomykany, głęboki zamiar Wyższéj Potęgi, unoszącéj się nad potokiem Poematu, jak Duch Boży nad wodami, — Potęgi karzącéj każdą zniewagę Ducha Rodziny i Ducha Społeczeństwa. — Spojrzyj na Orcia w świetle téj Myśli, a ujrzysz w nim arcyważne ogniwo łańcucha Myśli-Matki Nieboskiéj Komedyi. Jak bowiem poezya jego jest skutkiem »win Ojca,« które szału Matki i wynikających zeń błogosławieństw i przekleństw na syna rzuconych stały się przyczyną, tak też głos jego wieszczy musi być jakoby głosem Sumienia Hrabiego — głosem; który Sądy Boskie ogłasza. Nieumyślném słowem nasuwać wyobraźni Ojca skazy na dnie Duszy jego wybite, samą obecnością złéj doli swego przelotnego życia podżegać ciągłe męki, co skwarem pustyni pierś Hrabiego przepalają; oto smutne powołanie Orcia, — oto Tragiczne przeznaczenie jego. Ontopowiada Ojcu, jak Mamę bardzo często widuje, jak mu się zawsze zdaje, że się przechadza po wielkiéj i szerokiéj ciemności, sama bardzo biała, jak wdzierając się gdzie światów krawędzie, gdzie Aniołów Pienie, zbiera dla niego roje kształtów, Natchnienia i Myśli, farby i dźwięki, a wszystko, jak sama powiada:

By Ojciec twój
O synku mój
Kochał ciebie —,

jak usta jego chce dźwiękiem i potęgą napoić, jak przyozdobić czoło wstęgą jasności, jak Miłością Matki obudzić w nim wszystko, co ludzie na ziemi, Anieli w Niebie nazwali Pięknością, — a wszystko znowu:

By Ojciec twój,
O synku mój
Kochał ciebie —,

jak już głos jéj słabieje, już niknie za murem kośnicy, a jeszcze powtarza:

By Ojciec twój,
O synku mój,
Kochał ciebie.

Temi słowy wyrażającemi całą moc Miłości jego Matki; tym cichym, równo kołysanym tokiem pierwszéj pieśni („Błąkam się wszędzie etc.“) wydźwięczającym harmonijny spokój jéj duszy; tym namiętnie — jednozgłoskowo ucinanym dźwiękiem słów ostatnich:

Byś o synku mój!
Był jako są w Niebie,
I ojciec twój
Kochał ciebie —;

daléj: tym w dytyrambicznym Zachwycie rozrywanym i jakoby w namiętnych podskokach rzucanym Rytmem drugiéj pieśni („Ja napoję usta twoje etc.), w któréj całą moc gwałtownego wieszczego natchnienia chce wydać, — rytmem, który tak Dziwnie-Pięknie kontrastuje z tajemniczo-cichym urokiem światła zachodzącego słońca, którego ostatni, — słaby polysk pada na ciemną zieloność modrzewi; wszystko to malujące razem całą Piękność i niedolę istoty, któréj ciche szczęście Hrabia zatruł, któréj śmierć nawet sumienie mu obciąża, — wszystko to, mówię, razem spada na duszę Hrabiego, druzgoce ją ogromem swego znaczenia, — potęgą okropnego wrażenia z gruntu ją porusza i wstrząsa: tak, że w skrusze serca woła do Boga: „Boże zmiluj się nad dzieckiem naszem, którego zda się, że w gniewie Twoim przeznaczyłeś szaleństwu i zawczesnéj śmierci, — Panie niewydzieraj Rozumu własnym stworzeniom, nieopuszczaj świątyń, któreś Sam wybudował Sobie, — spojrzyj na męki moje i aniołka tego nie wydawaj piekłu!“

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

W Tygod. Petersb. Nr. 66. znajduje się Wyjątek z Listu o przyjaciołach Słowian w Warszawie. Przypomina w nim autor zasługi Lindego, a wszczególności jego rozprawę o Etymologii, w któréj rzucił wielkie światło na utwor mów słowiańskich; o rozbiorze pism Sopikowa w przedmowie do przekładu Hist. Lit. Ross. Grecza; o rozprawie o Statucie Litewskim w języku Ruskim, szczególniéj atoli o dokonaniu wiekopomnego dzieła Słownika Polskiego. Linde urodził się w Toruniu 1771., odbywał nauki w Lipsku, gdzie przez sławnego Ernestego powołany do wykładania języka polskiego przy tym uniwersytecie, zaczął się dopiero sam kształcić w tym języku podług gram. Monety, książki Voigta i Słownika Trotza. Pierwsza książka, która go silniéj zajęła, był Powrot Posła Niemcewicza, a przekład jéj niemiecki był pierwszą jego pracą, którą drukiem ogłosił. W roku 1805. mianowany Rektorem Lyceum w Warszawie. W roku 1814. wydał ostatni tom swego słownika. Dziś Linde mało się zajmuje piśmiennictwem, żyjąc więcéj w przeszłości, zna jednak z nazwiska najnowsze pisma. Autor słownika porównawczego dyalektów słowiańskich nie mówi żadnym dyalektem słowiańskim, Popolsku tylko i to z niemiecka.

Drugim badaczem słowiańszczyzny ma być w Warszawie Andrzej Kucharski, który przez 5 lat podróż po słowiańskich ziemiach odbywał i zebrał znaczny zapas wiadomości i osobliwości słowiańskich, z których atoli nic dotąd światu nie ogłosił. Pan Kucharski, znany uczonemu światu z swych rozpraw, np. z Recenzyi pierwszych Zasad Gram. Mrozińskiego. W roku 1825. wydał Ortografią polską Zaborowskiego z roku 1518. z przekładem polskim, z dodatkiem uwag i wiadomości o życiu autora, tudzież ortografii Seklucyana i spisu grammatyk i słowników polskich. Obecnie zaś wydał: Najdawniejsze pomniki Prawodawstwa słowiańskiego, z kartą napisową w 4 językach, zawierające: *a*) Ruską Prawdę podług Kałajdowicza z tłómaczeniem polskiém; tłómaczenie także niemieckie z Ewersa. *b*) Zakonnik Serbski z rękopismu dotąd niedrukowanego, z dodaniem przekładu niemieckiego Szafarzyka. *c*) Prawa ziemi czeskiéj po czesku i po łacinie, z uwagami i skazówką rzeczy i wyrazów pana Maciejowskiego. Do drukowania praw ruskich, czeskich i serbskich użył p. Kucharski pisowni wynalezionéj przez siebie, mogącéj służyć do wyrażenia wszystkich dyalektów słowiańskich. Wydanie to jest staranne i dla pracujących około rzeczy ojczystych pożądane. Ważniejszym atoli byłby dla ogółu sam opis jego podróży. P. Kucharski otwiera z rokiem przyszłym w Warszawie katedrę języków słowiańskich. Pan Kucharski, zapytany od autora tego listu, czyli jest okolica w Polsce, w któréjby lud prosty głoski cz, sz i t. p., jak w dyalekcie klassy wyższéj wymawiał, odpowiedział, iż, ile mu się słyszyć zdarzyło, okolicy takiéj nie ma; i ztąd oraz uczynił wniosek, iż lud nasz cały nie jest pokoleniem słowiańskiém, ale litewskim (??), przez pokolenie polskie najechanym, którego język przyjął; tak właśnie jak w guberniach Wielkorossyjskich są ku północy osady plemion początkowo finskich, które przyjęły język zwycięzców Rossyan, ale go wymawiają szepleniąc. (!!!)

Trzecim jest p. **Maciejewski**, należący (podług autora listu) do pierwszego rzędu żyjących dziś w Europie uczonych, jeden z najsilniejszych nowego gmachu słowiańskich nauk budownik. Będąc powołanym w r. 1822. na członka kommissyi do układu prawa dla królestwa polskiego, uczuł najlepiéj potrzebę poznania gruntownego prawodawstwa własnego kraju, jako też szczepów jednoplemiennych. Owocem jego pracy było dzieło, które autor początkowo chciał wydać po łacinie, »**Historya Prawodawstw Słowiańskich**,« 4 Tomy, powitane z oklaskiem przez wszystkich słowiańskich uczonych. P. Hiżdew zajął się jego przekładem na język Rossyjski, przekład zaś francuzki dokonany pod okiem autora, ma być już pod prassą w Paryżu.

Myśl raz wyzwolona, wszedlszy na wolne pole badania przeszłości, mimowolnie postąpiła daléj. P. Mać. nie wierząc niczemu nadomysł, nawykły do wczytywania się w źródła, ujrzał wkrótce, jak wszystkie wkoło utwory, mające związek z dziejami, i same nawet dzieje, dzikiéj i dalekiéj od prawdy budowy; ztąd w swym obrazie przeszłości zapragnął zmieniać same nawet dzieje i poświęcił się w dalszéj swéj pracy odgrzebywaniu materyałów.

Podjęte w tym celu badania, odnoszące się do wieków przedchrześciańskich i pierwszych Chrześciaństwa, ogłoszone świeżo zostały w 2 tomach p. n. Pamiętniki o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian. Autor sądzi, że dotąd żaden jeszcze naród dawny i nowy nie miał spisanéj przeszłości swojéj, jak być powinna, i dodaje: jest nadzieja, że w wielostronném oświaty swéj rozważaniu, daléj postąpią Słowianie. Autor toruje tu drogę przyszłemu dziejopisowi w dziejach **kościoła, piśmiennictwa i domowego pożycia**.

W Rękopiśmie, któremu tylko ostatecznego przyłożenia ręki brakuje, praca ta jest doprowadzoną do wieku XVII. Jak rozważanie dziejów pod względem religijnėm uczyniło go w ogłoszonych 2ch tomach Pamiętników historykiem, tak rozważanie w dalszych w XV. XVI. XVII umysłowego stanu ludu, powiodło go do rozbioru pism i pisarzy, wprowadziło na pole krytyki literackiéj. Co do chrześciaństwa autor dowieść się stara, że to na długo już przed Mieczysławem było w Polsce, w narodowym tylko języku obrzędy odbywające; ztąd przez kronikarzy piszących już po rozdwojeniu kościoła, pogaństwem zwane do czasu przemiany obrzędu.

Histor. Literat. Pol. w XV. i XVI. p. Maciejowskiego, składająca następne 2 Tomy Pamiętników, ozdobioną jest w szczegóły rzadkiéj dokładności. Autor daje swe zdanie o wszystkich pisarzach, których imiona podali nam Bentkowski, Juszyński, Ossoliński, a z treści tych pism tysiąc wniosków, tak co do ich tworców, jak co do dziejów spółczesnych wyciąga. Zdanie o pismach poprzedza biografią pisarzy, z których każda, przynajmniéj znakomitsza, jest obfita w nowe szczegóły. Sąd o poezyi nawet jest niepodległy równie. Z dawnych poetów naszych p. Maciejowski najwięcéj ceni Klonowicza i zdanie to rozbiorem pism jego usprawiedliwić się stara; szczegóły zaś w biografii poety za przyczynę sponiewierania go u współczesnych i u potomnych stawi.

W ostatnich tomach rękopismu przystępując do szczegółów badań dawnego domowego pożycia, autor prawoznawca, dziejopis i krytyk, zmienia się w statystyka wieków, które bada, malownika towarzyskich szczegółów dawnych społeczeństw i wewnętrza domów; zaledwie się nawet nie staje twórcą historycznéj powieści. Historyczne romanse nasze uważa autor za prawdziwe potwory, jakoż istotnie prace p. Maciejowskiego przyczynią się do budowania bliższych prawdy utworów; pan Maciejowski albowiem kreśli swe obrazy dawnéj przeszłości we wszystkich jéj odcieniach, z samych źródeł. Pomiędzy innemi pełny jest życia i ruchu obraz rynku krakowskiego z XV. wieku, złożony z kilkudziesiąt okresów, każdy zaś z nich jest cytatą ze spółczesnego pisarza.

Wacław Alex. Maciejowski urodził się w roku 1792., pierwsze nauki odbywał u Pijarów w Piotrkowie, ztamtąd udał się 1812. do Krakowa, gdzie pracując pod okiem Bandtkiego, otrzymał od niego ten kierunek badań gruntownych i ze źródeł. Od 1814—16. słuchał nauk w uniwersytecie Wrocławskim, gdzie w godzinach wolnych przekładał dla Korna książki niemieckie na polski język. W roku 1817. słuchał nauk w Berlinie. W końcu udał się do Getyngi, gdzie wkrótce stopień doktora Prawa pozyskał. W r. 1818. mianowany prof. literat. starożyt. w Lyceum Warszawskiém, w 1819. prof. prawa rzymskiego w uniwersytecie, w 1837. Sędzią trybunału cywilnego Mazowieckiego. (**Nasze** zdanie o Maciejowskim i jego pismach wkrótce czytelnikom udzielimy.)

Znakomity poeta Seweryn Goszczyński wyda w Strasburgu zbiór swych niedrukowanych dotąd poezyj.

Konstanty Gaszyński wydał w Aix pod nazwą »*Nord et midi*« zbiór powieści, w francuzkim języku pisanych. — Niektóre z nich czytaliśmy już dawniéj w *Souvenirs de Pologne*. — Augustyn Cieszkowski, znany autor dziełka *Prolegomena zur Historiosophie*, wydał w Paryżu u Trettel Wurz nową broszurę »*du credit et de la circulation*.« 8vo. 20 str.

Alexander Jełowiecki wydał w dwóch tomach swoje wspomnienia. Styl i wystawienie rzeczy jest zajmujące.

Pamiętników pana Seweryna Soplicy wyszedł tomik drugi; zawiera powieść Pan Ogiński, Tadeusz Rejten, Pan Rewieński, Trybynał lubelski. W najbliższych numerach damy czytelnikom naszym przegląd z tego zajmującego dziełka, które jednak co do wewnętrznéj wartości nie wyrównywa pierwszéj części.

Z pism czasowych polskich przestaną od 1go Stycznia r p. wychodzić, znane z swych złych zasad i dążności: 1) Kronika, 2) pismo wydawane przez Bystrzanowskiego, 3) Wiadomości historyczne i literackie — dla braku prenumeratorów. *Requiescant in pace!*

Dziełka Jana Czyńskiego »*Avenir des ouvriers*« wyszło teraz drugie wydanie. Cena 15 centymów.

Z muzycznych dzieł wyjdą w miesiącu bieżącym i będą w księgarni Stefańskiego do nabycia: Pieśni z muzyką K. N. Wysockiego. Zeszyt ten zawiera dwie bardzo ładne piosnki. Modlitwa sieroty i Dziewczyna i chłopiec. Pierwsze odznacza się gruntownością i czuciem, drugie lekkością i miłą melodyą. — W téjże księgarni wyjdą także w końcu b. m.: Trzy piosnki polskie z muzyką A. Woykowskiego; zeszyt ten zawiera: 1) Rozłączenie, poezya Aug. B. 2) Życzenie Witwickiego. 3) Drzym sobie duszo E. W.

Z Nrem 26. kończy się bieżące półrocze. Ponieważ od 1. Stycznia 1840., dla sprostowania pocztowych i księgarskich obrachunków, zacznie się Rok trzeci naszego pisma; przeto łaskawi Czytelnicy raczą złożyć na następujący kwartał prenumeraty tylko Talara.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*